

Czesław Brzoza

POLSKIE ODDZIAŁY WARTOWNICZE PRZY ARMII AMERYKAŃSKIEJ WE FRANCJI (1944-1947)

Dowództwo przygotowujących się do inwazji na kontynent wojsk alianckich było świadome faktu, że czeka na nie wiele zadań, które z powodzeniem mogłyby być wykonywane nie przez oddziały wojskowe, potrzebne przede wszystkim na froncie, ale przez różnego rodzaju służby pomocnicze, rekrutowane z wyzwolanej ludności. Najlepiej przygotowali się do takiej sytuacji Amerykanie, którzy jeszcze w kwietniu 1944 r., a więc na dwa miesiące przed lądowaniem we Francji, opracowali instrukcję pt. *Standing Operating Procedure N° 27 (SOP 27)*¹, zawierającą ustalenia mające regulować wszelkie problemy związane z pomocniczą służbą pracującą na rzecz ich armii. Jak się okazało, miały one również wywrzeć decydujący wpływ na zasady organizacyjne i położenie polskich oddziałów wartowniczych, przede wszystkim we Francji, ale po części także w amerykańskiej strefie okupacyjnej Niemiec. Generalne założenia owej instrukcji miały na celu z jednej strony ułatwienie własnym armiom rozwiązywania pojawiających się problemów, a z drugiej załatwienie istotnej w okresie przejściowym kwestii zatrudnienia mas wyzwolanej ludności (w tym także Displaced Persons), z której miano rekrutować obsadę niezbędnych oddziałów służby cywilnej. Zakładano, że w trakcie działań wojennych formacje te m.in. zapewnią ochronę licznych magazynów i składów tworzonych na potrzeby walczących armii, będą pilnować jeńców oraz dbać o normalne funkcjonowanie instytucji i zakładów pracujących na szeroko rozumiane potrzeby wojska.

¹ Szczegółowe omówienie zasad tej instrukcji zawiera niedatowana analiza ppłk. Z. Kosióra, *Polskie oddziały wartownicze w służbie USA – we Francji*, Instytut Polski i Muzeum im. gen. W. Sikorskiego (dalej: IPMS), sygn. B. 2689.

Zgodnie z przyjętymi założeniami przewidywano tworzenie dwojakiego rodzaju jednostek. Pierwsze to Static Civilian Labor (Stała Służba Pracy), mające składać się z obywateli państw sprzymierzonych, na których terenie toczyły się działania wojenne, choć nie wykluczano możliwości zatrudniania w drodze „rekwizycji” niezbędnych fachowców spośród obywateli państw pokonanych (Niemcy, Włochy). W rzeczywistości dotyczyło to Francji, Belgii, Holandii i Luksemburga. W węższym znaczeniu członków oddziałów *static* rekrutowano z tych miejscowości, gdzie znajdowały się amerykańskie instytucje, na których rzecz mieli pracować. Drugim rodzajem były oddziały Mobile Civilian Labor (Ruchoma Służba Pracy), tworzone z obywateli państw alianckich znajdujących się na wyzwolanych terenach, przebywających tam w charakterze jeńców wojennych, więźniów obozów koncentracyjnych lub robotników przymusowych. Dotyczyło to więc m.in. Polaków, Czechów, Słowaków, Jugosłowian, Greków, Litwinów, Łotyszów czy Estończyków, ale nie przedwojennych mieszkańców ZSRR, którzy, zgodnie z zawartymi porozumieniami, mieli podlegać jedynie władzom Związku Sowieckiego, co jednakże nie zawsze było przestrzegane.

Zasadnicza różnica między pracownikami obu rodzajów jednostek nie polegała jednak na kryterium narodowościowym, ale na rodzaju wykonywanych zadań. Ludzie zatrudnieni w oddziałach „stałych” pracowali przede wszystkim w miejscu swego zamieszkania i zapewniali kancelarie oraz sekcje tłumaczy, zmonopolizowali obsługę kasyn, gospód i świetlic żołnierskich, piekarni, hoteli, pralni i innego rodzaju zakładów usługowych. W zamian za pracę otrzymywali wynagrodzenie, ubranie i jeden posiłek dziennie (obiad), a mieszkali we własnych mieszkaniach i przychodzili do pracy w określonych godzinach. Ich utrzymanie nie było zbyt kosztowne, a więc mieli wyższe zarobki. Z tej formy zatrudnienia korzystała częściowo także ludność polska stale mieszkająca we Francji. Trochę inaczej wyglądała sytuacja oddziałów „ruchomych”, które w każdej chwili można było kierować do dowolnego miejsca. Ich członkom zapewniano umundurowanie, zakwaterowanie i całodzienne wyżywienie, ale w związku z tym przyznawano mniejszą stawkę godzinową. Różnice w uposażeniu były jednym z powodów zastrzeżeń nieustannie wysuwanych przez zatrudnionych, a nawet animozji narodowościowych między tzw. katanami (Francuzami) a obcokrajowcami, głównie Polakami. Ostatecznie wysokość uposażeń obu rodzajów służb zrównano. Grupy „ruchome”, złożone wyłącznie z obcokrajowców, przybierały w zasadzie postać jednostek wartowniczych, używanych do strzeżenia obozów jenieckich, składów i magazynów materiałowych powstających niejednokrotnie w znacznej odległości od osiedli, tworzyły służbę konwojową i eskortową lub, znacznie rzadziej, oddziały pracy.

Prawo powoływania obu rodzajów służb zarezerwowano teoretycznie dla dowództw wielkich jednostek (grup armii, armii i korpusów) działających na terenie nieprzyjacielskim, a realizować je mieli oni przy współpracy tzw. oficerów łącznikowych różnych narodowości, przydzielanych do V Oddziałów Sztabów (G-5), zajmujących się wyłącznie sprawami osób deportowanych. W rzeczywistości z pra-

wa tego korzystały także jednostki niższego rzędu, np. sztaby dywizji, a nawet, jeżeli pojawiła się taka potrzeba, pułków. Bardzo często, pragnąc natychmiast rozwiązać pojawiające się problemy, ludzi do oddziałów pracy rekrutowano, składając obietnice znacznie przekraczające możliwości przewidziane w instrukcji z kwietnia 1944 r., co powodowało wiele komplikacji.

W SOP 27 uregulowano także wiele innych kwestii, np. zasady organizacyjne, sprawy związane z uzbrojeniem, umundurowaniem, zaprowiantowaniem, płacami, opieką lekarską, ubezpieczeniami itd. Do tej instrukcji załączone były szczegółowe aneksy z wzorami zawierania umów, prowadzenia wykazów personalnych, zapisywania godzin pracy, wyszczególniające przysługujące umundurowanie itd.

Podstawą zatrudnienia był teoretycznie indywidualny kontrakt, w którym jednakże nie określano żadnych szczegółów uwzględniających kwalifikacje pracownika, a jedynie stwierdzano, że podpisujący go zobowiązuje się pracować na rzecz Armii Stanów Zjednoczonych Ameryki. Rozróżnienie pojawiało się dopiero przy ustalaniu liczby przepracowanych godzin, za które wynagrodzenie uzależniano od przygotowania pracownika i wykonywanych przez niego czynności, np. tłumacz, kucharz, robotnik niewykwalifikowany (*unskilled*), wykwalifikowany (*skilled*), majster (*very skilled*) i kierownik zespołu (*foreman*). Dwa ostatnie określenia oznaczały w kompaniach wartowniczych odpowiednio porucznika i kapitana. Ta ogólnikowość sformułowań pozwalała dowodzącemu oficerowi (Commanding Officer) na kierowanie się własnymi ocenami i całkowitą swobodę zaszeregowania przyjętych osób do poszczególnych grup. On też decydował, kto w danej grupie będzie sprawował funkcję foremana i jego pomocników. Choć nie zdarzało się to często, ale było możliwe, że w razie zmiany dowódcy amerykańskiego cały ustalony system zaszeregowania przybierze zupełnie inną postać, gdyż nowo przybywający oficer miał pełne prawo dokonywania wszelkich zmian w oddziale. Zasady kontraktu jednostronnie uprzywilejowywały pracodawcę. Amerykański dowódca oddziału mógł w każdej chwili zwolnić pracownika ze służby, nie musząc przy tym podawać jakiegokolwiek powodu takiej decyzji, mającej ponadto charakter ostateczny, gdyż pracownikowi nie przysługiwało prawo do odwołania ani na drodze służbowej, ani sądowej. Sprawa ta stała się zresztą powodem wielu konfliktów, zwłaszcza we Francji.

Członkowie Labor Service (Służby Pracy) otrzymywali za pracę wynagrodzenie o wysokości uzależnionej od stawek obowiązujących na terenie państwa, w którym była ona wykonywana. Wpłaty zapewniały miejscowe Urzędy Pracy, a rozliczenie z tego tytułu między poszczególnymi państwami a Stanami Zjednoczonymi dokonywane były na podstawie odrębnych umów. Zarobki generalnie były bardzo atrakcyjne (np. w Belgii nawet trochę większe niż pracujących w bardzo trudnych warunkach górników), choć w rzeczywistości wysokość wynagrodzenia, przy identycznych obowiązkach, zależała od miejsca pracy (części kraju). Np. we Francji płacono w 1945 r., w zależności od regionu, od 17 do 28 franków za godzinę, a najwyższe

stawki otrzymywali członkowie kompanii wartowniczych w rejonie Hawru. To zróżnicowanie było zresztą powodem licznych pretensji i nieporozumień.

Przyjętym do służby pracownikom zapewniano na wypadek choroby ubezpieczenie. Chorzy mieli być leczeni w szpitalach cywilnych, chociaż amerykański dowódca w nagłych, uzasadnionych wypadkach miał prawo skierowania podległego mu personelu do szpitala wojskowego. Z możliwości takiej korzystali oni, gdy chodziło o czynnych żołnierzy z Polskich Sił Zbrojnych, oddelegowanych czasowo do pełnienia służby wartowniczej. Nie czyniono tego jednak w zasadzie w stosunku do osób cywilnych (DP) lub traktowanych podobnie byłych jeńców wojennych. Zróżnicowanie to powodowało dodatkowe komplikacje, ponieważ szpitale cywilne, przynajmniej we Francji, nie cieszyły się najlepszą opinią. Ostateczna decyzja, do jakiego rodzaju szpitala należy, niezależnie od kategorii, skierować chorego pracownika, zależała od indywidualnej decyzji amerykańskiego dowódcy.

Najmniej precyzyjnie rozstrzygnięto w SOP 27 kwestię odpowiedzialności prawnej za popełnione przestępstwa. Zgodnie z instrukcją pracownicy cywilni za czyny karalne skierowane przeciwko obywatelom, władzom, skarbowi i siłom zbrojnym USA odpowiadali przed sądami amerykańskimi, natomiast za inne zbrodnie i występki pospolite przed sądami swojego kraju. Zasada była bardzo prosta i mogła być stosowana w odniesieniu do Francuzów, Belgów czy Holendrów, a także przedstawicieli starej polskiej emigracji, posiadających obywatelstwo wymienionych krajów, ale twórcy instrukcji nie przewidzieli, że w oddziałach Labor Service znajdują się także, a w zasadzie będą dominować, obywatele innych państw. Polskie sądownictwo cywilne nie istniało na kontynencie, a wojskowemu wymiarowi sprawiedliwości podlegali tylko żołnierze służby czynnej i ewentualnie, przy pewnym nagięciu przepisów, dawni jeńcy wojenni. Zgodnie z takimi normami przestępstwa pospolite popełnione przez osoby cywilne (dipisów) pozostawały bezkarne lub karane były na drodze samosądu, co w świetle norm prawnych także było przestępstwem. Kwestia ta nie została precyzyjnie rozstrzygnięta do końca istnienia oddziałów wartowniczych we Francji.

W chwili, gdy działania wojenne na kontynencie europejskim zbliżały się ku końcowi i przechodziły w fazę operacji okupacyjnych, przed dowództwem amerykańskim pojawiły się nowe problemy. Wojna, zwłaszcza z amerykańskiego punktu widzenia, nadal nie była zakończona, a jednostki europejskie powinny zostać w miarę szybko i sprawnie przerzucone na Daleki Wschód, do walki z Japonią. Część oddziałów należało jak najprędzej zdemobilizować, gdyż opinia publiczna w USA nie bardzo potrafiła zrozumieć, dlaczego armia amerykańska ma nadal przebywać w Europie, skoro działania zbrojne zostały tam zakończone. Trzeba było także zlikwidować trudną do określenia liczbę baz zaopatrzenia, tworzonych i systematycznie rozbudowywanych jako zaplecze walczących do niedawna wojsk.

Szczególne role w tych wydarzeniach przypadła Francji, która została podporządkowana amerykańskiemu Dowództwu Etapów (Communication Zone) z siedzi-

bą w Paryżu. Dowództwu temu podlegały cztery okręgi etapowe („bazy”), na które podzielono Francję:

1. Seine Base Section, obejmujący Paryż i najbliższe okolice, tzn. przede wszystkim departament Seine.
2. Oise Intermediate Section z siedzibą w Reims, jako rejon odchodzących i przybywających jednostek amerykańskich.
3. Chanz Section, do którego zaliczano przede wszystkim porty północnej Francji, a zwłaszcza Hawr, istotny, ponieważ był najważniejszym miejscem przeładunków transportów nadchodzących z Ameryki lub do niej odpływających.
4. Okręg Marsylia – jako rejon załadunku wojsk amerykańskich, odpływających na Daleki Wschód.

Wśród tych, teoretycznie równorzędnych, ośrodków szczególna rola przypadała jednak Oise Intermediate Section (OIS), gdyż tam dokonywano generalnego przegrupowania wycofywanych z Niemiec oddziałów w celu ich demobilizacji i odesłania do USA lub skierowania do walki na Dalekim Wschodzie. Także na terenie OIS przybierały ostateczny charakter przybywające ze Stanów Zjednoczonych jednostki mające okupować Niemcy i stąd, po zorganizowaniu, kierowano je do miejsc przeznaczenia. W rezultacie ta właśnie podwójna rola OIS spowodowała, że Reims i wiele otaczających je miejscowości stało się na przeciąg kilku miesięcy jednym olbrzymim amerykańskim obozem wojskowym, przez który nieustannie, we wszystkich kierunkach przepływały różnego rodzaju jednostki. O skali zjawiska może świadczyć chociażby fakt, że przez Reims przewinęło się:

- w czerwcu 1945 – ok. 250 tys. żołnierzy
- w lipcu 1945 – ok. 300 tys. żołnierzy
- w sierpniu 1945 – ok. 400 tys. żołnierzy

W tym ostatnim miesiącu nastąpiło także największe nasilenie ruchu z i do Niemiec.

Na dowództwo tego okręgu nałożono tym samym olbrzymią liczbę prac związanych z przegrupowaniem i zaopatrzeniem przybywających z obu stron jednostek oraz strzeżeniem wielu obozów jenieckich znajdujących się na tym terenie. W związku z tymi zadaniami sztab OIS utworzył dwa urzędy jako organy wykonawcze: Military Labor Service (MLS) – dla koordynowania wszelkich pomocniczych prac wojskowych oraz Provost Marshall dla spraw związanych z obozami jenieckimi. MLS podlegały dwa tzw. Okręgi Nadzorcze (Labor Supervision Area – LSA), których siedziby ulokowano w Reims (7th LSA) i Nancy (10th LSA). Oba okręgi dzieliły się na tzw. Centra Pracy (Labor Supervision Center – LSC). Liczba podporządkowanych im jednostek oraz ich liczebność zależała od rodzaju wykonywanych zadań.

Zainteresowanie Amerykanów tworzeniem polskich kompanii wartowniczych pojawiło się stosunkowo wcześniej i być może wpływ na to miały doświadczenia angielskie. Jednostki bojowe potrzebne były na froncie, a ktoś musiał pilnować

branych do niewoli Niemców, których liczba zwiększała się w miarę zajmowania coraz większych połaci Francji, oraz strzec tworzonych w błyskawicznym tempie różnego rodzaju składów i magazynów. Wybór padł na Polaków, którzy do tego czasu zdołali zorganizować na terenach wyzwolonych kilka tzw. Stacji Zbornych, gdzie rejestrowali się ochotnicy do wojska, rekrutujący się zarówno ze starej emigracji, jak i żołnierzy polskich z 1940 r., ludzi pracujących w czasie wojny w kompaniach pracy, członków polskiego ruchu oporu we Francji, a także branych do niewoli lub dezercerujących Polaków służących przymusowo w armii niemieckiej czy organizacji Todta (ta ostatnia grupa była najliczniejsza). Całością zagadnień mobilizacyjnych we Francji zajmował się płk Antoni Zdrojewski, ps. „Daniel”, „Nestor” – Delegat Ministra Obrony Narodowej we Francji.

Amerykanie początkowo prowadzili działalność na własną rękę, opierając się na ogólnych przepisach z kwietnia 1944 r. Już w początkach września 1944 r. zaczęli zatrudniać Polaków – dezercerów z armii niemieckiej. W połowie tego miesiąca informowano np. mjr. Andrzeja Bohomolca, szefa sztabu Delegatury MON we Francji, że 33 Polaków „którzy zbiegli z armii niemieckiej, zanim alianci wylądowali we Francji, zatrudnionych jest obecnie przez wojsko amerykańskie przy pracach w porcie. Otrzymali oni umundurowanie, żywność i żołd wynoszący około 1300 frs miesięcznie”². Jednak z amerykańskiego punktu widzenia korzystniejsze byłoby wciągnięcie do prac nad tworzeniem oddziałów Labor Service przedstawicieli polskich władz. Pod koniec września 1944 r. do mjr. A. Bohomolca zwrócił się płk USA Gill, Szef Wydziału do Spraw Jeńców Wojennych (Chief of the Prisoner of War Division) SHAEF (Supreme Headquarters Allied Expeditionary Forces), z propozycją utworzenia „ad hoc uzbrojonych kompanii robotniczych, które zajęłyby się pilnowaniem jeńców”. Amerykanom musiało zależeć na czasie, gdyż wg poufnej informacji towarzyszącego Gillowi kpt. Nimitza, przekazanej następnie Bohomolcowi, sprawa była „dla nich niebywale ważna, i [...] zażądali obecnie jak najpilniejszego przybycia do Francji, do ich dyspozycji, 77 kompanii, których im brak”. Mjr Bohomolec uchylił się jednak od udzielenia konkretnej odpowiedzi, odsyłając oficerów do płk. Zdrojewskiego, swego zwierzchnika, jako łącznika z władzami wojskowymi w Londynie. Amerykanie nie byli z tego zbyt zadowoleni, gdyż, jak podkreślił płk Gill, nie mieli „kompetencji, by prowadzić rozmowy na płaszczyźnie międzynarodowej”, a zależało im przede wszystkim na doraźnym rozwiązaniu problemu³.

Władze polskie rzeczywiście nie były wówczas specjalnie zainteresowane tworzeniem tego typu oddziałów, gdyż największą wagę przykładają do rozbudowy własnych sił zbrojnych, do których kierowały pozyskiwany materiał ludzki. Amerykanie jednak nie zrezygnowali i sami rozpoczęli werbunek, przede wszystkim

² Notatka dla p. mjr. Bohomolca z 15 IX 1944, IPMS, sygn. A XII 47/12.

³ Notatka służbowa mjr. Bohomolca z rozmowy z płk. Gillem z 29 IX 44 r., IPMS, sygn. A XII 50/5.

w obozach cywilnych, co przynosiło pewne rezultaty, chociaż skupiska te były już wydrenowane wcześniejszym poborem do WP. Ta konkurencyjna działalność Armii Amerykańskiej nie budziła entuzjazmu wśród polskich oficerów. W początkach 1945 r. autor jednego z raportów pisał: „Rekrutacja do Am.[erykańskich] Baonów Pracy odbywa się w obozach stałych. Że niezdolni do służby wojskowej i starsi znajdują tam pracę i zaopatrzenie – jest b.[ardzo] dobrze, lecz odejście elementu nadającego się do wojska uważam za niewłaściwe i wręcz złe”⁴. Zdawano sobie jednak sprawę, że przeciwdziałanie nie bardzo było możliwe, bo choć Amerykanie starali się także werbować ludność Francji oraz zamieszkałych tam na stałe Polaków, to uzyskane tą drogą efekty zupełnie nie zaspokajały potrzeb, natomiast ciężkie warunki pobytu w obozach dla Displaced Persons (DP), a także niewielkie możliwości sprawowania opieki nad masami tej ludności przez przedstawicieli władz polskich sprzyjały ich poczynaniom.

Do wiosny 1945 r. rekrutacja nie przybrała jednak prawdopodobnie większych rozmiarów. Sytuacja zmieniła się wraz z wkroczeniem wojsk alianckich na teren Niemiec, gdzie znajdowały się nie tylko olbrzymie masy polskiej ludności cywilnej, ale także liczne obozy oficerskie, żołnierskie i jeńców z AK. Równocześnie, w związku z błyskawicznie rosnącą liczbą obozów jenieckich na zapleczu i wydłużeniem się szlaków komunikacyjnych, zdecydowanie zwiększyło się zapotrzebowanie na oddziały wartownicze. Wypróbowaną w 1944 r. metodą Amerykanie rozpoczęli werbunek w obozach jenieckich i obozach ludności cywilnej. Już wczesną wiosną 1945 r. w podlegających dowództwu w Oise Intermediale Section tzw. batalionach pracy powstało wiele oddziałów, których część określano jako polskie lub w większości polskie (*mostly Poles*). Większość z nich koncentrowano początkowo w Reims i okolicy, a następnie w rejonie Nancy – największych we Francji bazach zaopatrzeniowych i rejonach przegrupowania. Liczebność i rozmieszczenie oddziałów w tym okresie ilustruje poniższe zestawienie.

Oise Section Labor Battalions.

Data	Chalons (QM-C)	Kwatera Główna OS	Reims (QM-R)	Inne miejscowości	Razem
10 III 45	265	239	863	–	1 367
17 III 45	265	239	870	–	1 374
24 III 45	265	239	1 170	–	1 674
31 III 45	265	289	1 362	–	1 916
7 IV 45	265	289	1 362	69	1 985
16 IV 45	265	328	1 362	204	2 159

Źródło: SHAEF, *Weekly Report No 25-29, Section of the Displaced Persons*, Instytut Polski i Muzeum im. gen. W. Sikorskiego (IMPS), sygn. A XII 43/4.

⁴ Meldunek J. Ścibor-Rylskiego dla C. Bystrama z 5 I 1945, IPMS, sygn. A XII 47/5A.

Ze wszystkich części Niemiec docierały do władz polskich informacje, na ogół spóźnione, o tej działalności. Poczynania te nie powodowały już w tym czasie większych zastrzeżeń ze strony polskich czynników wojskowych, gdyż, na skutek zdecydowanie negatywnego stanowiska Anglików, możliwości wchłonięcia przez Polskie Siły Zbrojne olbrzymiej liczby żołnierzy i oficerów właściwie nie istniały. Załamała się także koncepcja tworzenia tzw. lekkich batalionów, w których władze polskie projektowały początkowo zatrudnić wyzwolonych w Niemczech oficerów, żołnierzy i cywili.

W rezultacie Amerykanie przerzucili do Francji kilkadziesiąt tysięcy mężczyzn, którzy zostali wcieleni do kompanii wartowniczych. Dążąc do maksymalnie szybko ich sformowania, starano się zarówno same oddziały, jak i służbę przedstawiać w maksymalnie korzystnych warunkach, przekraczając tym samym uprawnienia określone instrukcją z kwietnia 1944 r. Najczęściej informowano zainteresowanych, że jest to werbunek do „wojska”, a nawet „polskiego wojska”, co później niejednokrotnie powodowało dodatkowe komplikacje.

W pierwszej połowie 1945 r. nikt dokładnie nie orientował się w rozmiarach tej rekrutacji, liczbie i rozmieszczeniu istniejących oddziałów ani warunkach pracy. Do polskich władz docierały jedynie co jakiś czas wiadomości o różnego rodzaju problemach i konfliktach pojawiających się w oddziałach. Np. 5 czerwca 1945 ppłk Kazimierz Gaberle, oficer łącznikowy przy Ambasadzie RP w Paryżu, informował Szefa Misji Wojskowej do Spraw Zaciągu i Ewakuacji: „Z rejonu Nancy zgłaszają się żołnierze polscy, zaangażowani przez władze amerykańskie do służby wartowniczej, z prośbą o interwencję w sprawie żywności, wyżywienia i papierosów”⁵. Ambasada lub polskie władze wojskowe starały się w miarę możliwości udzielać pomocy w takich wypadkach, zwracając się albo do amerykańskich władz wojskowych w Paryżu, albo, znacznie częściej, do konkretnych dowódców amerykańskich w terenie, powołując się na znane sobie rozwiązania zastosowane w innych ośrodkach. Np. w tym przypadku na fakt, że „w rejonie Reims sprawy te zostały już uregulowane, a wartownikom wypłacano uposażenie miesięczne w wysokości ok. 3000 franków”. Zdawano sobie jednak sprawę, że rozstrzygnięcia powinny mieć charakter globalny i dotyczyć całej Francji. Było to zadanie, ze względu na charakter oddziałów, obciążające przede wszystkim szefa Polskiej Misji Wojskowej we Francji. Jego rozmowy z Amerykanami zostały poprzedzone wizytacją największych obozów, podczas której płk Szymański zdołał zorientować się w skali problemu oraz najistotniejszych kwestiach spornych.

Decydujące znaczenie miała konferencja, odbyta 19 czerwca 1945 r. w Kwaterze Głównej Oise Intermediate Section (OIS) w Reims. Ze strony amerykańskiej wzięli w niej udział: gen. bryg. C.C. Trasher – dowódca OIS, płk J.C. McCawley – jego szef sztabu, ppłk T.J. Elder – Provost Marshal (oficer odpowiedzialny za

⁵ Pismo ppłk. K. Gaberlego z 5 VI 1945 r., IPMS, sygn. A XII 50/5.

sprawy jeńców wojennych), ppłk W.D. Nixon – szef Oddziału V Sztabu, odpowiedzialny za sprawy Displaced Persons, ppłk L.M. Wolf – szef Military Labor Service i kpt. F.A. Filippi – szef personalny Military Labor Service. Stronę polską reprezentował płk Antoni Szymański – szef Polskiej Misji Wojskowej (PMW), któremu towarzyszyli mjr Zygmunt Kosior, kpt. Korusiewicz i por. Jan Borkowski. W czasie konferencji ustalono podstawowe zasady działalności mającej powstać sekcji łącznikowej oraz prawa i obowiązki obywateli polskich (żołnierzy, dipisów i innych osób) zatrudnionych przez Oise Intermediate Section. Zgodnie z nimi żołnierze polscy mieli być użyci jako wartownicy przy obozach jenieckich pod kierownictwem Provost Marshala oraz pod kierownictwem Military Labor Service jako wartownicy jeńców niemieckich zatrudnionych przy różnego rodzaju instytucjach i zakładach przemysłowych. Wszelkie sprawy związane z pracą i wynagrodzeniem podlegały dowódcy OIS, a kwestie ewakuacji i repatriacji osób zwalnianych z pracy znajdowały się w gestii szefa V Oddziału Sztabu (G-5). Ustalono również ramy organizacyjne. Kompaniami kierowali dowódcy, dwie kompanie (lub więcej) podlegały Center dowodzonemu przez oficerów w stopniu majora, ci zaś „najstarszemu polskiemu oficerowi” (Senior Polish Officer) przydzielonemu do sztabu OIS i współpracującemu z szefem sztabu. Stan aktualnego zatrudnienia ustalono na ok. 25 tys., z prawem zwiększenia go stosownie do potrzeb. Wszyscy polscy oficerowie łącznikowi przydzieleni do sztabu OIS tworzyli Polską Sekcję Łącznikową pod dowództwem „najstarszego oficera”. Postanowiono także utworzyć w Reims Ośrodek Oficerski (ok. 100 osób) dla uzupełniania stanów lub wymiany kadry. Amerykanie zobowiązywali się umundurować osoby zatrudnione, zapewnić im zakwaterowanie i wyżywienie zgodne z tzw. racją kontynentalną, przewidzianą przez Generalnego Kwatermistrza dla osób cywilnych pracujących na potrzeby armii USA. Racje PX przysługujące żołnierzom amerykańskim miały być dostarczane zatrudnionym Polakom „zgodnie z istniejącymi przepisami”. Płk A. Szymański zobowiązał się do zapewnienia opieki lekarskiej istniejącym i mającym powstać oddziałom⁶.

Umowa była dość ogólnikowa, ale miała pewne pozytywne strony. Zapewniała zatrudnienie przybywającym nielegalnie z Niemiec żołnierzom i oficerom chcącym, mimo definitywnego zamknięcia rekrutacji, wstąpić do Polskich Sił Zbrojnych, stwarzała możliwość ingerowania w sprawy administracyjne i aprowizacyjne, w tym odwoływania się do najwyższych władz wojskowych za pośrednictwem dowódcy sekcji łącznikowej. Ramy umowy zostały poszerzone ponadto przez utworzenie polskich oddziałów żandarmerii (Military Police), które, współdziałając z amerykańskimi i francuskimi służbami policyjnymi, dbały o zapewnienie porządku. Utworzono także nie przewidywany początkowo centralny ośrodek szkoleniowy dla kandydatów na wartowników w Romilly, który jednak przetrwał tylko kilka miesięcy.

⁶ Z. Kosior, op.cit.

25 czerwca 1945 r. Szef Polskiej Misji Wojskowej we Francji (płk Antoni Szymański), w porozumieniu z gen. C.C. Thrasherem, dowódcą Oise Intermediate Section, przydzielił płk. dypl. Stefana Brzeszczyńskiego (byłego konsula polskiego w Moskwie, a późniejszego Ministra Obrony Narodowej na emigracji) na szefa „tworzącej się obecnie Polskiej Sekcji Łącznikowej (PSŁ) przy Headquarters Oise Intermediate Section – Communications Zone European Theatre of Operations US Army w Reims – na okres od 26 czerwca 1945 r. aż do odwołania”⁷. W skład utworzonej wówczas Polskiej Sekcji Łącznikowej (z siedzibą w Reims) wchodziło początkowo czterech oficerów (poza płk. S. Brzeszczyńskim mjr Z. Kosior, kpt. dypl. Witold Lisowski i por. Henryk Zdrodowski), powołanych na podstawie rozkazu Kwatery Głównej SHAEF z 11 lipca 1945 r. Początkowo Polska Sekcja Łącznikowa – Polish Liaison Section (przez pewien czas używała nazwy Polish Advisery Section) sprawowała opiekę nad wszystkimi jednostkami. 15 stycznia 1946 r., w związku z likwidacją znacznej części składów amerykańskich we Francji i po przeniesieniu do Frankfurtu nad Menem dowództwa Communication Zone, we Francji pozostało jedynie dowództwo nowo utworzonej bazy Western Base Section (WBS) z siedzibą w Paryżu, a pozostałe bazy przemianowano na podległe jej okręgi (Area). M.in. na miejsce Oise Intermediate Section powstała 6th Labor Supervision Area. W związku z tymi zmianami Sekcja Polska także uległa reorganizacji. Płk S. Brzeszczyński przeniósł się do Paryża, a mjr Z. Kosior z pozostałymi oficerami utworzył podsekcję w Reims. Od tego czasu płk Brzeszczyński sprawował opiekę nad oddziałami w Paryżu, Hawrze, Marsylii i w Belgii, a podsekcja Z. Kosiora nad kompaniami w Reims i okolicy oraz Toul, Nancy, Metz, Langres, Dijon i Epinal⁸.

Do czasu reorganizacji Sekcja współpracowała przede wszystkim z ppłk. Wolfem, Szefem Military Labor Service w Kwaterze Głównej OIS, od którego uzyskiwano informacje o rozmieszczeniu oddziałów, dokonywanych przesunięciach, zmianach kadrowych itd. U ppłk. Wolffa interweniowano również w sprawie usunięcia niedociągnięć związanych z zakwaterowaniem, wyposażeniem i zaprowiantowaniem poszczególnych jednostek, a także w przypadku pojawiania się napięć w stosunkach między Polakami a amerykańskimi dowódcami. Ze względów praktycznych Sekcja nawiązała także bliższe kontakty z komendantami wszystkich wielkich składnic

⁷ Propozycję mianowania na to stanowisko płk. Brzeszczyńskiego wysunął A. Szymański w trzy dni po konferencji z Amerykanami w depeszy do gen. Kopańskiego jako Szefa Sztabu Naczelnego Wodza, który 3 VII 1945 r. zatwierdził wyznaczenie S. Brzeszczyńskiego „jako oficera łącznikowego do spraw oddziałów wartowniczych i pracy w rejonie Reims” oraz polecał mu zachować ścisłą współpracę z ppłk. J. Ilińskim, p.o. Szefem PMS przy SHAEF we Frankfurcie nad Menem, depesza-szyfr nr 2794 płk. A. Szymańskiego z 22 VI 1945, IPMS, sygn. A XII 47/62B; pismo Szefa PMS we Francji z 25 VI 45; depesza-szyfr gen. Kopańskiego z 3 VII 45, IPMS, sygn. A XII 47/9.

⁸ Z. Kosior, op.cit., s. 13.

i magazynów (Depot), przy których zatrudniano kompanie (np. płk. Smithem – komendantem 533 QM Group czy płk. Bardenem – komendantem 64 QMB). W sumie współpraca z władzami amerykańskimi ułożyła się zupełnie znośnie. Wyraziły one nawet pisemną zgodę upoważniającą Sekcję „do samodzielnego inspekcjonowania wszystkich oddziałów wartowniczych” na terenie Francji⁹.

W rzeczywistości zakres uprawnień tak całej Sekcji, jak i płk. S. Brzeszczyńskiego był niezbyt duży. Jego zadaniem było regulowanie spraw administracyjnych i zaopatrzeniowych wszystkich zwerbowanych Polaków, ale dowodzenie znajdowało się w gestii tego oficera amerykańskiego, przy którym oddział był zatrudniony. Szef Sekcji miał w zasadzie wolną rękę w przyjmowaniu kandydatów do służby w oddziałach wartowniczych. Natomiast administrowanie personelem już zaangażowanym znajdowało się poza jego zasięgiem. Mógł, co prawda, proponować dokonywanie zmian na stanowiskach dowódczych, ale ostateczna decyzja zawsze należała do zainteresowanego oficera amerykańskiego, co niekiedy prowadziło do kontrowersji w środowisku polskim. Zdarzało się bowiem, że przy organizowaniu kompanii Amerykanie wyznaczali na stanowiska kapitana (*foreman*) i porucznika (*very skilled*) te osoby, które ich zdaniem najlepiej się do tego nadawały, nie zwracając zupełnie uwagi na ich stopnie w wojsku polskim. Nawet jeżeli byli to ludzie bardzo dobrze dobrani, to sprawowanie przez nich funkcji „z nominacji amerykańskiej” budziło olbrzymie zastrzeżenia wśród polskich oficerów, zwłaszcza zawodowych, nie potrafiących przekroczyć barier myślenia kategoriami hierarchii i starszeństwa. Niewielkie znaczenie miał tu fakt, że w kilku wypadkach, na umotywowany wniosek płk. Brzeszczyńskiego, Amerykanie dokonali zmian na stanowiskach dowódców kompanii, a nawet kompanii nadzorczych. Równie nikłe były możliwości Sekcji w sprawach dotyczących zaopatrzenia. Interweniować mogła jedynie w przypadku wyraźnego naruszenia warunków umowy, nie miała natomiast prawa ingerować w samą organizację zaprowiantowania, a zwłaszcza w różnice występujące między normami przewidzianymi dla żołnierzy (także dla jeńców niemieckich), a przysługującymi wartownikom jako pracownikom cywilnym. W rezultacie od samego początku zaistniał swoisty konflikt na tle oczekiwań, zwłaszcza ze strony polskiego korpusu oficerskiego, i zakresu kompetencji posiadanych przez oficerów pracujących w Sekcji: „Ogólnie wyobrażano sobie Sekcję jako coś w rodzaju komórki dowódczej wojskowej, wraz ze wszystkimi atrybutami przywiązanymi do tak wysokiego Sztabu. Jest w tym przekonaniu i dużo słuszności, i dużo błędu. Zaczynam od błędu – słaba ogólnie orientacja polityczna polska, podniecona atmosfera duchowa [...] chciała widzieć koniecznie w tych tysiącach uzbrojonych Polaków – kompanie, bataliony, pułki – i dywizje. Chciała, aby Szef Sekcji wydawał rozkazy organizacyjne, przenosił, kreował, zawiązywał i rozwiązywał, dochodził

⁹ Komunikat Informacyjny Sztabu Głównego nr 4 z 18 X 1945 r., IPMS, sygn. A XII 30/40.

praw starszeństwa i kompetencji”¹⁰. W rzeczywistości Sekcja była „komórką zwierzchnią wojskową w zakresie dyscypliny i porządku, komórką konsularną w zakresie obrony praw i interesów Polaków w służbie wartowniczej, biurem pośrednictwa pracy i porady prawnej, urzędem pocztowym międzynarodowym, sztabem wielkiej jednostki w zakresie organizacyjnym”¹¹.

I tak niełatwa sytuacja Sekcji pogorszyła się jeszcze po cofnięciu uznania rządowi na uchodźstwie. Do 5 lipca 1945 r. zarówno płk A. Szymański, jak i płk S. Brzeszczyński działali jako pełnoprawni rzecznicy interesów żołnierzy polskich zatrudnionych przez siły zbrojne USA. Po tej dacie ich pozycja została bardzo osłabiona i rozstrzygnięcie wielu problemów zależało od koniunkturalnej polityki Amerykanów wobec Polaków. Sytuację skomplikowało także pojawienie się Polskiej Misji Wojskowej Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, której cele były w zasadzie zgodne z generalnymi założeniami amerykańskimi – możliwie szybkie repatriowanie mas polskich, w tym także wartowników. W stosunku do tych ostatnich występowały jedynie różnice zdań co do terminu ewakuacji, gdyż Amerykanie zamierzali utrzymać oddziały do chwili likwidacji własnych baz, co, jak optymistycznie zakładali, miało nastąpić jesienią 1945 r. Z tego też względu nie stwarzali żadnych przeszkód przysyłanym do większych skupisk wartowniczych przez Misję warszawską oficerom łącznikowym, którzy zainstalowali się m.in. w Reims, Lionie, Nancy oraz Metz i prowadzili tam działalność propagandową i rejestrację chcących powrócić do kraju.

M.in. względy polityczne uniemożliwiły Polskiej Sekcji Łącznikowej urzeczywistnienie pierwotnych planów, zmierzających do nadania całej służbie wartowniczej charakteru scentralizowanej organizacji typu wojskowego, z podziałem na jednostki podlegające jednemu ośrodkowi dowódczemu, a to dlatego, że zasady wprowadzone przez Amerykanów nie tylko utrudniały nadzór nad pracą kompanii i realizowanie ich potrzeb, ale także wymuszały konieczność nieustannych interwencji w terenie, mających pomóc w rozwiązywaniu konfliktów z miejscowymi oficerami amerykańskimi oraz w załatwianiu wielu pojawiających się, trudnych nieraz, spraw. Ponadto nawet egzekwowanie przyjętych już ustaleń, przede wszystkim w zakresie zaopatrzenia oddziałów, też nie należało do rzeczy najprostszych, gdyż Amerykanie, jak to bardzo często odbierali wartownicy, traktowali całe zagadnienie w kategoriach czysto handlowych – „tj. najmniej dać, najwięcej w zamian

¹⁰ „Przykładem takiego superindywidualnego podejścia jest batalion wartowniczy w Metz, używający nazwy i pieczęci »Polish Forces« (bezprawnie zresztą) – gdzie dowódca batalionu ppor. rezerwy - co mu bynajmniej ujmy nie przynosi – wizytował francuskiego dowódcę dywizji – i właśnie robił to, czego podświadomie żądał od Szefa Sekcji – a więc: mianował, prznosił, organizował i przeorganizowywał. Koniec takiej pracy normalny: mianowicie zbuntował się i zaczął szukać dróg, już niezbyt wojskowych, gdy Szef Sekcji posłał na dowódcę starego kapitana”, Z. Kosiór, op. cit., s. 14.

¹¹ Ibidem.

otrzymać”. W sumie zadania oficerów łącznikowych sprowadzały się najczęściej do występowania w roli rzeczników kompanii, gdyż prawie każda zgłaszała pod adresem Amerykanów mnóstwo mniej lub bardziej uzasadnionych żali i pretensji, lub mediatorów w nieustannych nieporozumieniach pojawiających się albo z winy strony polskiej, albo, równie często, spowodowanych przez miejscowych przełożonych amerykańskich.

W pierwszym okresie brak było szczegółowych przepisów regulujących zasady organizacyjne, zakres obowiązków, wyposażenie i wynagrodzenie powstających kompanii. Amerykanie kierowali się ogólnymi przepisami SOP 27¹² dotyczącymi Cywilnej Służby Pracy przy Armii USA. Z pozyskanych ochotników tworzono oddziały noszące oficjalną nazwę Civilian Labour Company (Cywilne Kompanie Pracy). Zarówno zatrudnieni w nich oficerowie, jak i żołnierze uważani byli za pracowników cywilnych. Kompanie dzieliły się, jak już wspomniano, na „stałe”, do których kierowano osoby zamieszkałe w tych miejscowościach, gdzie wykonywały pracę, oraz „ruchome”; do tej kategorii zaliczono wszystkie oddziały złożone z wysiedleńców. W zasadzie jednostki „ruchome” mogły przybierać postać oddziałów wartowniczych lub oddziałów pracy, używanych np. do rozładunku i załadunku sprzętu wojskowego, zapasów żywności itp.¹³

Brakło również ustalenia jakichkolwiek ram prawnych dla istniejących oddziałów. Między wojskowymi władzami amerykańskimi a wstępującymi do kompanii żołnierzami i oficerami nie zawierano szczegółowych umów ani zbiorowych, ani indywidualnych. W rzeczywistości każda osoba zatrudniona w kompanii mogła w dowolnej chwili porzucić pracę, ale również mogła być w ten sam sposób zwolniona. W pierwszym okresie możliwość tę wykorzystywali przede wszystkim wartownicy, i to, jak pisał Szef Sekcji Łącznikowej, „niemal stokrotnie częściej”.

Pod koniec czerwca 1945 r., a więc w chwili powstania Polskiej Sekcji Łącznikowej, na terenie Oise Intermediate Section (OIS) w kompaniach wartowniczych służyło ok. 120 oficerów i 20 tys. szeregowców, a dwa miesiące później (23 sierpnia 1945) istniało już ok. 120 kompanii, 2 bataliony wartownicze (Metz i Murmelon) oraz trzy obozy wartownicze w rejonie Reims, w których znajdowało się ok. 4 tys. szeregowców. W sumie w jednostkach wartowniczych znajdowało się ok. 350 oficerów i 25 tys. wartowników¹⁴. Były to dane przybliżone, gdyż, jak podkreślano, zarówno liczba kompanii, jak i stany poszczególnych jednostek charakteryzowały

¹² Szczegółowe omówienie zasad tej instrukcji zawiera niedatowana analiza ppłk. Z. Kosiora, op.cit.

¹³ Latem 1945 r. Polska Sekcja Łącznikowa wiedziała tylko o dwóch kompaniach, które poza pełnieniem służby wartowniczej wykonywały inne prace. W jednym przypadku była to przeróbka gumy, a w drugim obsługiwanie dużej stacji benzynowej, *Komunikat Informacyjny Sztabu Głównego nr 4 z 18 X 1945*, IPMS, sygn. A XII 30/40.

¹⁴ *Sprawozdanie z sytuacji s[łużby] wartowniczej przy US Army za rok 1946 z 5 VI 1947*, IPMS, SYGN. A XII 50/15; *Komunikat Informacyjny nr 4*, op. cit.

się olbrzymią płynnością. Ponadto ze względu na brak dobrze zorganizowanej łączności wiadomości z oddziałów rozrzuconych na przestrzeni ponad 200 tys. km² docierały z dużym opóźnieniem. Szef Sekcji Łącznikowej pisał dwa miesiące po jej powstaniu: „Z kilkoma kompaniami jeszcze nie nawiązaliśmy łączności, choć wiemy, że istnieją (są w zapadłym terenie, odległe ponad 400 km, gdzie dostać się trudno, a na pisma nie reagują), są zapewne kompanie, o istnieniu których jeszcze nie wiemy. Pochodzi to stąd, że oddziały amerykańskie, przyjeżdżając z Niemiec na teren Francji, przywożą ze sobą kompanie wartownicze, o których albo w ogóle nie meldują lub meldują z dużym opóźnieniem do centrali. Drugim powodem jest bardzo duża autonomia administracyjna oddziałów i Depot amer[ykańskich], dzięki czemu mogą one samodzielnie organizować nowe kompanie, rozwiązywać czy dzielić na parę mniejszych stare kompanie, zmieniać ich miejsce postoju itp., o czym zazwyczaj meldują do centrali z dużym opóźnieniem”¹⁵.

Kompanie wartownicze nie miały, jak to wspomniano, ściśle ustalonych zasad organizacyjnych. Ich liczebność określała, co prawda, ogólna instrukcja, ale w rzeczywistości nie zawsze tworzone je zgodnie z tymi przepisami. W zależności od lokalnych potrzeb zatrudniano w nich od 60 do 250 ludzi. Podobnie niejednorodny był także ich skład, jeżeli weźmiemy pod uwagę pochodzenie wartowników. W niektórych przeważali robotnicy przymusowi i więźniowie obozów, a w innych jeńcy wojenni z kampanii wrześniowej, francuskiej lub powstania warszawskiego. Istniały także całe kompanie złożone z wziętych do niewoli Polaków służących w Wehrmachcie. Jesienią 1945 r. i w ciągu roku następnego pewien odsetek wartowników rekrutowało się z uciekinierów napływających z Polski. W zasadzie uprawnienia każdej z tych grup były zupełnie inne. Amerykanie dążyli do zlikwidowania różnic i narzucenia wszystkim statusu Displaced Persons, co w zasadzie osiągnęli.

Równie zróżnicowana była kadra oficerska. Dzieliła się ona najogólniej na dwie kategorie. Do pierwszej należeli oficerowie, byli jeńcy wojenni, którzy zaangażowali się od początku w działalność tych jednostek. Najczęściej to oni formowali je w Niemczech, dobierali sobie kadrę podoficerską i nadzorowali przebieg rekrutacji. Do tej grupy należeli także oficerowie, którzy na własną rękę przybywali z Niemiec do Francji i zgłaszali się do istniejących jednostek, najczęściej na prośbę zatrudnionych już tam kolegów. Jeszcze inni byli tam kierowani przez PMW w Paryżu. W sumie do kategorii tej należało ok. 20% całej kadry, a wg opinii płk. Brzeszczyńskiego dobrze wywiązywali się oni ze swych obowiązków, chociaż nie było to łatwe. Praca w oddziałach wartowniczych nie należała bowiem do najłżejszych, a niejednokrotnie wymagała dużego samozaparcia, poświęcenia, wyrobienia życiowego i taktu, nie wspominając już o sprawności i wytrzymałości fizycznej. Charakteryzując warunki bytowe, Szef Sekcji Łącznikowej pisał: „Oficerowie ci w 70% mieszkają na odludziu, w namiotach, w których [niejednokrotnie] poza łóżkiem

¹⁵ *Komunikat Informacyjny nr 4, op. cit. .*

polowym bez materaca, poduszki i bielizny pościelowej – nie ma żadnego sprzętu. Otrzymują oni umundurowanie na równi z wartownikami klasy X (nasza kat[egoria] B); są przeważnie na wikcie żołnierskim, jednostajnym i nieraz skąpym”¹⁶. Jedyłą satysfakcją mogli czerpać z faktu, że w ogóle pracują oraz, że za drutami obozów znajdują się żołnierze armii, która przez długi czas ich więziła. Nic więc dziwnego, że ochotników brakowało, a braki kadrowe były wyjątkowo wysokie. Aby im zaradzić, Sekcja zwróciła się do dowództwa Obozu Polskich Oficerów w Murnau, prosząc o przysłanie uzupełnień. Oficerowie, których stamtąd przysłano, tworzyli drugą kategorię (ok. 80% całości kadry). Przybyli oni w dwóch rzutach: 12 lipca 1945 r. – 352 osoby i 5 sierpnia 1945 r. – 38 osób. Mniej więcej połowa z nich zaakceptowała to, co im zaproponowano i energicznie włączyła się do pracy. Część przybyłych (62 osoby z pierwszego rzutu i 15 z drugiego) po zapoznaniu się z warunkami pracy zrezygnowała z niej jeszcze przed otrzymaniem przydziału do kompanii i powróciła do Muranu. Reszta pozostała, aczkolwiek przynajmniej połowa, wg oceny płk. Brzeszczyńskiego, nie nadawała się do tego typu zadań. Określił on ich jako oficerów przeważnie starszych wiekiem, „schorzałych lub wykończonych nerwowo, a co najważniejsze umysłowo i psychicznie zeszywniałych w przedwojennych pojęciach wojskowych i nie mogących nagiąć się i zrozumieć specyficznego charakteru półcywilnych OW”. Dalej pisał, że w związku z tym mają oni poważne problemy w znalezieniu jakiegoś układu z podwładnymi, „trudności we współżyciu z oficerami amerykańskimi, nie znając przeważnie języka angielskiego. W tych warunkach wielu oficerów załamuje się i rezygnuje z pracy”¹⁷.

Dowodzenie kompaniami wartowniczymi było wyjątkowo trudne, a ponadto brakło jednolitych zasad, które regulowałyby to zagadnienie. Przy każdym oddziale istniała tzw. kompania nadzorcza, składająca się przynajmniej z jednego oficera i 3-4 podoficerów amerykańskich. Byli oni odpowiedzialni przed swoimi przełożonymi za wykonanie prac oraz za zaopatrzenie podległej im jednostki. W zależności od sytuacji faktyczne dowództwo spoczywało w rękach albo amerykańskiego oficera nadzorczego, albo formalnie mu podległego oficera polskiego, do którego obowiązków należało przede wszystkim dbanie o dyscyplinę w oddziale i bezkolizyjne wypełnianie obowiązków. Choć bezpośrednio dowodzenie przez Amerykanów było utrudnione ze względu na barierę językową, to jednak często, jak pisał płk Brzeszczyński, oni byli właściwymi dowódcami, a oficerowie polscy pełnili funkcje pomocnicze, wykonawcze. Miało to swoje dobre strony i szef Sekcji Łącznikowej nie dążył do wprowadzenia zmian, gdyż, jak zauważył „niemal wszędzie, gdzie amerykański oficer zrzekł się swoich wpływów na kompanię, czy to dobrowolnie, czy pod pewnym naciskiem, przestaje się on interesować kompanią. W konsekwencji psuje się zaopatrzenie kompanii, rośnie niezadowolenie wśród szeregowych, a nasi oficerowie nie mogą się uporać z trudnościami aprowizacyjnymi. Jest kilka kompanii,

¹⁶ Ibidem.

¹⁷ Ibidem.

gdzie w ogóle nie ma naszych oficerów, a ja celowo nie dążę do obsadzenia ich naszymi oficerami, bo oficerowie amerykańscy tak troszczą się o swoje kompanie, że należą one do najlepiej zaopatrzonych i najbardziej zadowolonych"¹⁸. Dodatkowym czynnikiem przemawiającym na korzyść Amerykanów był ich pobłażliwy stosunek do dyscypliny formalnej, którą dla odmiany dość rygorystycznie usiłowali wprowadzać polscy przełożeni. Negatywne konsekwencje zmiany dowództwa z amerykańskiego na polskie zostały w pewnych wypadkach bardzo szybko dostrzeżone przez wartowników, a wyolbrzymione wiadomości rozchodziły się błyskawicznie wśród innych oddziałów. Nic więc dziwnego, że w wielu kompaniach bardzo niechętnie, a czasami wręcz wrogo (gwizdy, wyzwiska, groźby wyrzucenia z obozu) przyjęto oficerów przybyłych z Murnau. Po pewnym czasie stosunki się unormowały, ale jeszcze pod koniec sierpnia 1945 r. w niektórych jednostkach autorytet oficerów polskich opierał się w znacznym stopniu na respekcie, jaki czuli wartownicy przed kadrą amerykańską. Wszystko zależało więc od indywidualności, umiejętności współżycia oraz taktu polskich i amerykańskich oficerów. Zazwyczaj znajdowali oni dość szybko wspólny język i współpraca układała im się zupełnie dobrze, a „wszędzie tam, gdzie nasz dowódca jest życiowo wyrobiony, taktowny i energiczny, jest on rzeczywistym dowódcą, podtrzymując pozory, że jest nim oficer amerykański"¹⁹.

Główną troską tak polskich, jak i amerykańskich dowódców było zapewnienie wartownikom znośnych warunków życia. Zależało to od istniejących możliwości kwaterunkowych, regularnego dostarczania zaopatrzenia i wyposażenia w bieliznę i umundurowanie. Nie były to, ze względu na generalne stanowisko Amerykanów, sprawy najprostsze. Tylko część oddziałów (ok. 30%) zakwaterowano w dostosowanych jako tako do tego celu budynkach, a tylko w wyjątkowych wypadkach warunki te oceniano jako bardzo dobre. Olbrzymia większość obozów jenieckich położona była jednak z daleka od osiedli, w polu lub lesie, w związku z czym wartownicy mieszkali w namiotach wyposażonych jedynie w łóżka polowe, najczęściej piętrowe, bez sienników, jedynie z kocem złożonym na deskach. Postulaty Sekcji Łącznikowej, aby budować baraki mieszkalne, rozbiły się o opór Amerykanów, którzy nie chcieli ponosić dodatkowych kosztów, a ponadto przewidywali dość szybkie rozładowanie obozów i przerwienie kompanii do innych miejscowości lub ich rozwiązanie. W związku z nadchodzącą zimą zamierzali jedynie uszczelnić namioty i wsta-

¹⁸ Ibidem.

¹⁹ Ibidem; wg obserwacji mjr. Z. Kosiora (op. cit., s. 7) oficerowie amerykańscy bardzo szybko przekonali się, „że oficer polski radzi sobie o wiele szybciej i lepiej z podległym mu polskim personelem. Toteż w rezultacie prawie wszędzie ustalili się system, że polskim oddziałem dowodził polski oficer, na niego zostało w praktyce przelane prawo karania dyscyplinarnego. Życie wprowadziło również polskie przepisy dyscyplinarne zamiast systemu karania amerykańskiego, przede wszystkim karami pieniężnymi, które się okazały bardzo niepopularne w polskich oddziałach”.

wić do nich piecyki. Niejednokrotnie też wartownicy znajdowali się w gorszych warunkach niż pilnowani przez nich Niemcy. Dowódca pełniącej służbę na południu Francji kompani nr 8092 pisał np. w swoim sprawozdaniu o sytuacji z marca 1946 r.:

Kompania w ciągu pierwszego miesiąca trzykrotnie zmieniała miejsce zakwaterowania. Pierwsze miejsce pobytu – 5 dni, w byłym obozie jenieckim. Małe domki na 4-ech ludzi, warunki dość znośne, lecz zimno, brak opału. Na skutek ogólnej likwidacji tego rejonu przeniesiono nas nagle do nowego M[iejsca] P[ostoju], gdzie mieliśmy przebywać na stałe. Przybyliśmy w miejsce kompletnie nie przygotowane, na zboczu góry wzniesione były w przeddzień namioty bez żadnych urządzeń, w dodatku na ciągłym deszczu. Warunki mieszkaniowe skandaliczne. Po trzech dniach, na skutek katerycznego protestu, przeniesiono nas do zwolnionej, odosobnionej części obozu jenieckiego. Warunki nieco lepsze. Jako mieszkania małe domki na dwie osoby, brak oświetlenia, które później uzupełniono. Umywalnie otwarte na powietrzu, ustępy połowe, brak pomieszczeń na kancelarię, magazyn, brak odpowiedniego mieszkania dla oficerów. Jedyne większe budynki to kuchnia. Ogólnie warunki bardzo złe. Po czterech tygodniach nastąpiła ponowna zmiana do ostatecznych kwater. Po przygotowaniu własnymi siłami nowego rejonu przeprowadziliśmy się do namiotów. Tu warunki były najznośniejsze. Choć trochę przykro było w okresie wiatrów, lecz po uzupełnieniu różnych braków, jak elektryczność, wodociągi, umywalnie, prysznic stworzone zostały warunki zupełnie dobre. W namiotach dużych 12-14 żołnierzy. W namiotach małych 4 do 6 podoficerów. Osobna kancelaria, osobny namiot na magazyn. Barak oficerski jednoizbowy, powiększony został do 2-ch izb. Namioty mocno zbudowane, drewniane podłogi i ściany boczne zaopatrzone w okna. Namiot to właściwie tylko dach oparty na rusztowaniu drewnianym. Każdy żołnierz posiadał typowe amerykańskie łóżko połowe²⁰.

Władze amerykańskie zapewniały zatrudnionym pełne umundurowanie. Każdy otrzymywał dwa komplety sortów – roboczy i wyjściowy, ponadto płaszcz przeciwdeszczowy i wiatrówkę, a w okresie zimowym ciepły płaszcz sukieny²¹. Jak już wspomniano, rozkazy dotyczące służby cywilnej przewidywały dla wartowników przydział wyposażenia klasy „X”, a więc umundurowania już używanego. W rzeczywistości wszystko zależało od dobrej woli, a w jeszcze większym stopniu od operatywności dowódców, przede wszystkim oficerów amerykańskich. Zazwyczaj starali się oni, z pewnymi wyjątkami, o dobre wyposażenie swych podopiecznych.

²⁰ W. Morawski, *Sprawozdanie z przebiegu służby w Oddziałach Wartowniczych przy US Army za okres od 1 III 46 r. do 22 IX 1946 roku*, IPMS, sygn. A XII 50/16.

²¹ Zgodnie z amerykańskimi przepisami zestaw umundurowania wartownika obejmował: 2 koszule zielone, 2 pary spodni zielonych, 2 podkoszulki ciepłe (wełniane), 2 pary ciepłych kałesonów, 1 koszulę sportową, 1 spodenki sportowe, 1 pasek do spodni, 1 krawat, 1 parę rękawic, 1 hełm, 1 czapkę wełnianą, 1 płaszcz przeciwdeszczowy, 1 parę kaloszy, 1 parę getrów, 1 komplet przyborów do jedzenia, 1 kombinezon, 2 koce, 1 worek na rzeczy, jedną, a od 1 VII 1946 dwie pary trzewików, W. Morawski, op. cit.

W wielu wypadkach wartownicy otrzymywali nowe sorty mundurowe. Zdarzało się jednak, że umundurowanie ze względu na stan zużycia nie nadawało się do noszenia. Bardzo często wartownicy, nie zawsze w sposób legalny, uzupełniali braki na własną rękę. Kpt. Mieczysław Dąbrowski, dowódca batalionu wartowniczego, pisał w swym sprawozdaniu o otrzymanym wyposażeniu:

Przedstawiało się całkiem rozpaczliwie. Po przybyciu na miejsce, tj. w styczniu 1946 r. przeszło dwa miesiące wartownicy umundurowania nie dostali. Wszelkie interwencje u polskich władz przełożonych (Sekcja Łącznikowa) nie dawały rezultatów. Wreszcie przywieziono kamion [ciężarówkę] starego umundurowania, brudnego, niezdezynfekowanego, z którego można było wybrać około 10% do noszenia – resztę zaś, niekiedy z literami P.W. (jeniec wojenny), zupełnie nie nadającą się do użycia, odwieziono do magazynu i to przez okres naszego pobytu powtarzano kilkakrotnie, z wyjątkiem jednorazowego przydziału nowych butów, na 50% stanu, oraz płaszczy przeciwdeszczowych. Ze względu na te okoliczności wartownicy zaczęli uzupełniać braki we własnym zakresie, co było widoczne tak dla polskich, jak i amerykańskich oficerów, co zresztą milcząco ci ostatni akceptowali²².

Po zakończeniu pracy wartownik był początkowo zobowiązany zdać całe umundurowanie. Przepisy te nie były jednak zbyt rygorystyczne i właściwie wszystko zależało od stanowiska zajmowanego przez lokalnego dowódcę amerykańskiego. W roku 1946 r. odchodzący do cywila wartownik z reguły zatrzymywał całe otrzymane wyposażenie.

Zawartość całodziennego wyżywienia osób zatrudnionych w cywilnej służbie pracy określała tzw. racja kontynentalna, różniąca się *in minus* od racji przyznawanej żołnierzom amerykańskim, a nawet jeńcom wojennym, szczególnie pod względem ilości tłuszczów, mięsa i słodyczy. Zróżnicowanie to szczególnie dotkliwie

²² M. Dąbrowski, *Sprawozdanie z przebiegu służby wartowniczej przy US Army za okres 6 I 46 do 13 IX 46 r. w Obozie im. Gen. Sikorskiego w Reims z 1 II 1947 r.*, IPMS, sygn. A XII 50/16. Podobnie wyglądała sytuacja we wspomnianej kompanii 8092. Por. W. Morawski zanotował w swym sprawozdaniu: „W drugim dniu przybycia do Obozu Amerykanie przystąpili do rozdziału umundurowania. Jedynie nowe były tylko trzewiki, wszystkie inne części wyekwipowania były w stanie kiepskim, niejednokrotnie na spodniach, koszulach, a w szczególności kombinezonach były oznaczenia jenieckie „P.W.”. Około jednej trzeciej umundurowania nie można było dopasować, koszule i spodnie za małe. Po długim bardzo czasie, do trzech miesięcy, zdołano dopasować nieodpowiednie części, przez ten czas wielu żołnierzy chodziło w jednej koszuli lub w jednych spodniach, a niejednokrotnie w kombinezonie, wychodząc poza Obóz we własnym umundurowaniu angielskim, co było znowu przez Amerykanów zabronione. Zużyte sorty mundurowe można było w zasadzie wymieniać dwa razy w miesiącu, lecz to była tylko teoria, gdyż w praktyce z trudem wymieniało się raz na miesiąc. Powodem były nieprzewidziane trudności w amerykańskich magazynach wymiany, poza tym często niechętnie odnoszenie się magazynierów amerykańskich lub też pracujących tam Niemców co do personelu polskiego”.

odczuwali dawni jeńcy wojenni, których przy rekrutacji zapewniano, że „idą do wojska”. Początkowo koszty wyżywienia były ponoszone przez wartowników. Z pensji potrącano im za dzienną rację 24 franki, tj. równowartość wynagrodzenia za mniej więcej jedną godzinę pracy. Od 1 sierpnia 1946 r. potrącenia te zlikwidowano. Podobnie jak w przypadku umundurowania, tu także bardzo dużo zależało od bezpośrednich amerykańskich przełożonych. W niektórych kompaniach wyżywienie określano jako dobre lub w zasadzie wystarczające, ale, co podkreślano powszechnie, bardzo monotonne i niemal w całości oparte na konserwach. Powszechnie narzekano na brak tłuszczów, świeżych jarzyn i zbyt małe ilości produktów, do których Polacy przywykli, jak np. ziemniaki czy chleb. Wg innych opinii wyżywienie było zupełnie niewystarczające, a różnica pomiędzy tym, co otrzymywali wartownicy i Amerykanie była olbrzymia. To właśnie było przyczyną częstych ostrych kontrowersji, a nawet strajków, które w kilku przypadkach zakończyły się zwolnieniem całych oddziałów ze służby i karnym odesłaniem wartowników do obozów DP w Niemczech. Przedstawiciele PSŁ usiłowali łagodzić sytuację, starając się rozwiązywać zawile problemy prawno-organizacyjne, bowiem to ich konsekwencją były różnice w wyżywieniu między amerykańskimi żołnierzami a wartownikami zaliczonymi do kategorii „deportowanych” (DPs) i sytuacją jeńców wojennych, chronionych przez konwencje międzynarodowe. Wszystkie te wyjaśnienia nie mogły jednak zlikwidować powszechnego poczucia krzywdy. Oficerowie Sekcji starali się także, w ramach swych niewielkich możliwości, wpływać na oficerów amerykańskich, aby występowali z wnioskami o poprawę bytu wartowników²³. W wielu przypadkach wartownicy i oficerowie dokupywali brakujące produkty na własną rękę, zwłaszcza jeżeli w pobliżu znajdowały się francuskie wsie. Por. Wiktor Morawski pisał np. w swym sprawozdaniu:

Wyżywienie było sprawą sprawiającą najwięcej kłopotów w czasie pobytu w kompanii wartowniczej, a to dlatego, że było niewystarczające. Normy, jakie otrzymywaliśmy, ustalone przez najwyższe d-two, w żadnym wypadku nie mogły być zmienione. Prawie wcale nie różniły się one od norm dla jeńców niemieckich. Natomiast w olbrzymim stopniu odbiegały od racji żołnierza amerykańskiego, czego dowodem jest fakt, że dzienna racja amerykańska kosztowała 74 frs., podczas gdy nasza 24 frs. Dlatego też od pierwszych dni w kompanii było wielkie niezadowolenie i przy każdej możliwej okazji [wartownicy] upominali się o większe racje. Pomimo moich ustawicznych meldunków d-com amerykańskim, nie odnosiło to żadnego skutku. Dwu czy też trzykrotna pomoc w dostaniu niewielkich zapasów, jakimi dysponowali z własnych oszczędności, wcale nie poprawiła sytuacji. Doszło wreszcie do tego, że żołnierze, na dowód swego niezadowolenia, przeprowadzili strajk głodowy, powstrzymując się przez półtora dnia od brania posiłków. Jedynym rezultatem tego strajku był przyjazd komisji polsko-amerykańskiej, która, zbadawszy na miejscu stan rzeczy, nie zdołała poprawić wyżywienia. Wówczas na terenie

²³ Z. Kosior, op. cit., s. 11.

kompanii została zorganizowana kantyna, której dochody dość duże obracane były na polepszenie strawy. Wyżywienie od tego czasu było wystarczające i nikt więcej nie uskarżał się²⁴.

Zasadniczym zajęciem kompanii wartowniczych było pilnowanie jeńców wojennych w obozach i podczas wykonywania pracy, a także konwojowanie ich w drodze między obozem a miejscem pracy. Część oddziałów pełniła również służbę przy składach i magazynach. Przeciętny dzienny czas pracy wynosił od 4 do 8 godzin, chociaż zdarzały się sytuacje, gdy przedłużano go do 9 lub 10 godzin. Obliczenie zarobków następowało na podstawie przepracowanego czasu. W 1945 r. średnia stawka godzinowa szeregowego wartownika wynosiła od 12 do 15 franków, a za podstawę przyjmowano zazwyczaj przepracowanie 240 godzin miesięcznie, chociaż były kompanie, w których te podstawę podnoszono do 360 godzin. Z takiej kalkulacji wynikał zarobek wartownika kształtujący się w wysokości od 2800 do 5000 franków, wypłacanych przez francuski Urząd Pracy na podstawie list dostarczanych z kompanii, podpisywanych przez amerykańskiego lub polskiego dowódcę oddziału. W 1946 r., prawdopodobnie ze względu na rosnące trudności z uzupełnianiem stanów, sytuacja trochę się poprawiła, gdyż wzrosły stawki godzinowe i do końca czerwca wynosiły: 24 franki dla wartownika, 24-28 dla podoficera (w zależności od stopnia), 32 dla podporucznika, 36 dla porucznika i 40 dla kapitana. 1 lipca 1946 r., w związku z dewaluacją franka, ich wysokość podniesiono o 25%. W okresie dwutygodniowego szkolenia członkom kompanii zaliczano przeciętnie 8 godzin pracy dziennie, a po podjęciu obowiązków 10 godzin, z wyłączeniem niedziel. Od 1 sierpnia długość dnia pracy oficera, a także niektórych funkcyjnych, ustalono na 12 godzin. Do 1 lipca 1946 r. wartownikom potrącano, jak to już wspomniano, 24 franki dziennie za wyżywienie oraz składki ubezpieczeniowe przelewane do francuskiej Kasy Chorych. Nie płacono za czas pobytu w areszcie, a w przypadku leczenia szpitalnego pacjenci dostawali pewien procent normalnego uposażenia z kas Ubezpieczalni Społecznych. Po zakończeniu służby i rozwiązywaniu kompanii wartownicy otrzymywali odprawę wynoszącą równowartość 60 godzin pracy²⁵. Dodatkową premią była możliwość kupienia, po sztywnych i niskich cenach, poszukiwanych na wolnym rynku papierosów – dziesięciu sztuk dziennie lub ich równowartości w tytoniu fajkowym, wydawanych pracownikom, przynajmniej teoretycznie, co dwa tygodnie. Przydział tytoniu, czekolady, gumy do żucia itp. był gestem dobrej woli ze strony władz amerykańskich, gdyż instrukcje SHAEF z kwietnia 1944 r. w ogóle nie przewidywały przydziału papierosów dla pomocniczych sił cywilnych.

²⁴ W. Morawski, op. cit.

²⁵ W. Morawski, op. cit.; w zasadach tych występowały, w zależności od miejsca pełnienia służby, lekkie modyfikacje. Np. stawki godzinowe dla wartowników znajdujących się w Obozie im. Gen. Władysława Sikorskiego w Reims wynosiły przeciętnie, w zależności od stopnia, 23-37 franków za godzinę, przy ryczałtowym zaliczaniu 260 godzin pracy w miesiącu.

Kompanie sformowane w 1946 r. w Obozach Zbornych przydział ten miały zagwarantowany, gdyż podobny otrzymywały także przed podjęciem służby.

Najwięcej problemów stwarzało zagadnienie pomocy lekarskiej, która, zgodnie z umową z 19 czerwca 1945 r., miała być zapewniona przez stronę polską. Bezpośrednio po zawarciu tego porozumienia płk A. Szymański informował nawet Londyn, że istnieje możliwość zorganizowania polskiego szpitala²⁶. W rzeczywistości latem 1945 r. na potrzeby służby wartowniczej oddelegowanych było zaledwie czterech lekarzy, z czego trzech przebywało w Reims, a jeden w Metz. Zdecydowana większość kompanii nie miała własnej opieki medycznej. W 1946 r. sytuacja trochę się poprawiła, aczkolwiek daleka była od doskonałości. W pewnych wypadkach troskę o zdrowie wartowników powierzano osobom zupełnie przypadkowym. Dowódca batalionu w Reims, charakteryzując warunki higieniczne i opiekę sanitarną w obozie pisał:

Żadna „Panna” podporucznik, nominowana przez Sekcję Łącznikową, posiadająca wykształcenie nawet nie elementarne, bez przeszkolenia sanitarnego, pełniła funkcję Naczelnego Lekarza Obozu. Sprytem swoim i jako narzeczona oficera USA (lekarza) umiała wyjednać leki, jak również zabiegi lekarskie i, głównie dzięki pracy jeńca niemieckiego, wyszkolonego sanitariusza, jakoś szło. Po wyjeździe „Panny” – Naczelnego Lekarza Obozu, przybył polski lekarz, który rozpoczął swą pracę fachową jako lekarz wojskowy, niestety po 6-ciu tygodniach wyjechał. Obóz został w ogóle bez lekarza. Chorzy byli kierowani bądź to do Obozu im. Pułaskiego, bądź też do szpitala francuskiego. Odbyło się kilka przeglądów periodycznych. Chorych wenerycznie ok. 10%. Kąpiel wystarczająca, pralnia w miesiącu lipcu 46 r. przestała funkcjonować i od tego czasu, mimo starań, pralni nie przydzielono²⁷.

W efekcie pierwszej pomocy udzielali wartownikom najbliżsi lekarze amerykańscy lub, znacznie częściej, lekarze niemieccy z obozów jenieckich. W poważniejszych przypadkach wartownicy odsyłani byli do szpitali, w pierwszym okresie wyłącznie francuskich. Budziło to liczne zastrzeżenia, nie tyle przeciwko tamtejszej opiece medycznej, co serwowanemu wyżywieniu. Od lata 1945 r. chorzy trafiali już w zdecydowanej większości do szpitali amerykańskich, w których warunki, przynajmniej zdaniem Polaków, były o wiele lepsze. Ten system utrzymał się do końca 1947 r., a więc do kresu pierwszej fazy dziejów oddziałów wartowniczych we Francji.

Na ogół wartownicy dobrze wywiązywali się ze swoich obowiązków i Amerykanie, przynajmniej początkowo, byli zadowoleni z ich pracy. Twierdzili nawet, że

²⁶ „Do Reims wysłałem również wstępną ekipę 5 lekarzy, możliwe, że uzyskam kompletny szpital amerykański, który musielibyśmy obsadzić personelem”, depesza-szyfr nr 2794 płk. A. Szymańskiego do Szefa Sztabu Naczelnego Wodza z 22 VI 1945, IPMS, sygn. A XII 47/62B.

²⁷ M. Dąbrowski, op. cit.

od czasu objęcia służby przez Polaków poważnie zmniejszyły się kradzieże w magazynach. W miarę upływu czasu sytuacja się jednak pogarszała. Wartownikom nie zapewniano nawet najprymitywniejszych warunków do spędzania czasu poza służbą. Tylko kompanie zakwaterowane w przystosowanych do tego budynkach, a było ich niezbyt dużo, posiadały własne świetlice, w których jednak najczęściej jedynym wyposażeniem był radioodbiornik. Prasa polska docierała do nielicznych miejscowości, a książka stanowiła absolutną rzadkość. Większość oddziałów pozbawiona była także opieki duszpasterskiej. Nie udało się w zasadzie zorganizować szkolenia wojskowego, do czego dążyła część polskich dowódców, gdyż szeregowi albo byli na warcie, albo spali po pracy. Ponadto bardzo często podkreślali, że służą w oddziałach cywilnych, a więc szkolenie wojskowe nie jest im potrzebne. Duża liczba wartowników znalazła się w kompaniach jedynie po to, aby przeczekać pierwszy trudny okres. Ludzie byli zmęczeni wojenną tułaczką i poniewierką, tęsknili za krajem i swymi najbliższymi. Zapomnienia szukali bardzo często w alkoholu, który był jednak drogi, a pieniądze szybko się wyczerpywały. Chcąc uzyskać dodatkowe środki uciekali się do kradzieży artykułów z powierzonych im pieczy składów i magazynów, a następnie sprzedawali je na czarnym rynku. Proceder ten rozprószył się przede wszystkim w pobliżu dużych ośrodków miejskich, np. Reims: „Tu wartownicy nasi po zapoznaniu się z różnymi elementami miejscowymi, po skontaktowaniu się z wartownikami różnych ciemnych typów z Paryża zaczęli uprawiać zawodowo okradanie pilnowanych magazynów i prowadzić czarny handel po prostu hurtem”²⁸. Sytuacja była na tyle poważna, że latem 1945 r. obawiano się, iż Amerykanie zaczną masowo zwalniać z pracy całe kompanie. Polska Sekcja Łącznikowa niejednokrotnie omawiała ten problem z dowództwem amerykańskim i starała się znaleźć środki zaradcze. Sprowadzały się one jednak właściwie tylko do przeprowadzania przez oficerów i księży pogadanek oraz apelowania do honoru wartowników, co zdaniem płk. Brzeszczyńskiego nie stwarzało jednak większych nadziei na poprawę sytuacji²⁹.

Zróznicowany skład kompanii powodował dodatkowe trudności. Generalnie oceniano, że elementem zdecydowanie oporniejszym wobec wymogów narzucanej dyscypliny byli dawni jeńcy, niezależnie od ich pochodzenia. Lata niewoli wykształciły w nich umiejętność oszukiwania, uchylania się od pracy, a po wyzwoleniu

²⁸ *Komunikat Informacyjny nr 4*, op. cit.

²⁹ Uzasadnienie braku wiary w powodzenie całej akcji płk Brzeszczyński ujął w kilku punktach:

- „– uczciwość wśród mas wartowniczych, deprawowanych wojną spadła do zera,
- „chłonność” rynku wciąż wzrasta, a nie ma sposobu odgrodzienia wartowników od „kupców”,
- masy amerykańskie, szczególnie murzyńskie, robią to samo, często do spółki z naszymi wartownikami,
- brak egzekutywy w rękach polskich”, ibidem.

niejednokrotnie demonstrowali przekonanie, że to ich roszczenia powinny być zaspokajane w pierwszym rzędzie. Oni też stanowili większość dezertersów z poszczególnych jednostek³⁰. To zróżnicowanie odbijało się w wyraźny sposób na dyscyplinie. Co prawda, istniały liczne jednostki, w których oceniano jej poziom jako dobry lub przynajmniej dostateczny. W dużym stopniu zależało to zresztą zarówno od postawy dowódców, jak i dobrej woli wartowników. Ze względu na „cywilny” charakter kompanii możliwości dowódców dotyczące wymuszania posłuchu nie były zbyt duże, a próby stosowania kar dyscyplinarnych prawie zawsze wywoływały odruchy protestu, przejawiające się w masowych ucieczkach lub nawet otwartych buntach. Jedyną skuteczną metodą okazało się nakładanie kar pieniężnych, bezpośrednio godzących w dochody wartowników. Gdy zawodziły wszelkie metody perswazji i dopuszczalne kary, uciekano się do środka, jakim było wydalenie z oddziału, co, jak wspomniano, nie musiało być szczególnie dotkliwie odczuwane, gdyż bez problemu można było zaciągnąć się do innej kompanii. „Niepoprawnych”, a do grupy tej zaliczano „notorycznych wichrzycieli, nałogowych pijaków i złodziei” Amerykanie odsyłali do zamkniętych obozów cywilnych, w których warunki egzystencji były bardzo ciężkie. Za szczególnie ciężkie przestępstwa (zabójstwo, poważna kradzież) wartownicy odpowiadali przed sądami amerykańskimi, a Sekcja Łącznikowa zapewniała im wówczas tłumacza i obrońcę.

Żywe zainteresowanie polskich władz, zwłaszcza wojskowych, kompaniami wartowniczymi wynikało z kilku powodów. Przede wszystkim zapewniały one kilkudziesięciu tysiącom żołnierzy, więźniów i robotników przymusowych pracę i względnie znośne warunki życia, co w Niemczech nie było możliwe do osiągnięcia. Dla władz wojskowych miały być one gotową rezerwą w razie zmiany sytuacji i pojawienia się ponownych możliwości rekrutacji do PSZ. Dlatego też Polska Sekcja Łącznikowa tak bardzo zabiegała o stworzenie jednolitej, zhierarchizowanej organizacji. Starania te jednak zakończyły się niepowodzeniem. Nie udało się nawet, przynajmniej do lata 1945 r., wprowadzić w kompaniach obowiązkowego szkolenia wojskowego. Z tych też powodów trudno było je uznać za szkołę życia, miejsce wychowania narodowego czy wojskowego. Natomiast trudności związane z warunkami bytowania potęgowały tęsknotę za krajem i chęć powrotu. Oceniając nastroje w masach wartowniczych, płk Brzeszczyński pisał z pewną przesadą:

Dominującym hasłem w kompaniach jest »wracać do Kraju«. Jest pewien odsetek szeregowych (w różnych kompaniach różny), który ma jeszcze zastrzeżenia co do

³⁰ Oficer łącznikowy pisał w swym raporcie o b. żołnierzach, że „są przemądrzali, mają wygórowane wymagania, a małe poczucie obowiązku. Oni zazwyczaj są inicjatorami niepokojów w kompaniach, strajków i buntów. Ci „wyjadacze” dali początek tej specyficznej kaście włóczęgów, którzy uciekają z jednej kompanii, by o 100 km dalej „urządzić się” w innej, rzekomo lepszej, by po paru tygodniach znowu uciec, zabierając ze sobą najczęściej całe otrzymane umundurowanie. Jest to niestety możliwe dzięki temu, że rekrutacja względnie uzupełnienie kompanii odbywa się nie centralnie, ale przez poszczególne kompanie czy obozy”, ibidem.

stosunków w Kraju. Mam podstawy do przypuszczenia, że te zastrzeżenia znikną z chwilą ruszenia pierwszych transportów, bo opanuje wtedy wszystkich psychoza powrotu. Z tej chęci powrotu wynika powszechne nawiązywanie stosunków z Misją warszawską i kolportowanie w kompaniach ulotek, pism i rozkazów tej Misji. Niemal wszystkie kompanie [...] mają swoich łączników, którzy komunikują się z przedstawicielami warszawskimi. Zwalczenie tego stanu rzeczy, czy to przez nas, czy oficerów w kompaniach, uważam za niewskazane, gdyż znaleźlibyśmy się łatwo poza nawiasem kompanii. Cały mój wysiłek na razie idzie w tym kierunku, aby nie dopuścić do wytworzenia się przepaści między tymi, co chcą wracać, a tymi, którzy nie chcą na razie wracać³¹.

Szef Sekcji Łącznikowej obawiał się, że na tym tle może dojść do otwartych konfliktów w oddziałach. W rzeczywistości obie strony, tj. prołondyńska i warszawska, ignorując się nawzajem, starały się unikać zadrażnień. Jedynie w Reims i Nancy doszło wśród kadry oficerskiej do dość gwałtownych kontrowersji, nie mających zresztą na szczęście żadnego wpływu na postawę podwładnych.

Prorepatriacyjne nastroje i utrzymywanie kontaktów z przedstawicielstwem rządu warszawskiego uznawane było przez wielu oficerów, tak polskich, jak i amerykańskich, za równoznaczne z sympatiami do komunizmu. Obawiano się, że może to, podobnie jak szerzące się w oddziałach demoralizacja i kradzieże, przyspieszyć likwidację wielu jednostek. Obawy te przez pewien czas były jednak bezzasadne. Mimo wielu przykrych słów kierowanych do Polskiej Sekcji Łącznikowej, Amerykanie nie tylko nie rozwiązywali kompanii, ale nieustannie tworzyli nowe. W początkach października 1945 r. liczebność oddziałów osiągnęła apogeum – służyło w nich 460 oficerów i ok. 32 tys. szeregowców³². Wtedy też wydawało się, że nadszedł kres ich istnienia. 1 X 1945 r. ukazało się zarządzenie gen. Ch.O. Threshera, dowódcy Oise Intermediate Section, zapowiadające, że likwidacja Polskich Oddziałów Wartowniczych nastąpi w ciągu kilku miesięcy i nakazujące natychmiastowe drastyczne zredukowanie ich stanów osobowych do maksimum 10 tys. ludzi³³. W pierwszym rzucie, do końca listopada 1945 r., zamierzano zwolnić ok. 15-18 tys. osób, to jest ok. 50% stanów, a całkowitą likwidację kompanii chciano zakończyć do końca czerwca 1946 r. Według opracowanych planów przebieg drugiej fazy miał wyglądać w przybliżeniu następująco:

³¹ *Komunikat Informacyjny nr 4*, op. cit.

³² Wg Z. Kosióra (op. cit., s. 13), stan liczebny oddziałów wartowniczych był trochę mniejszy i wynosił: 450 oficerów i 28 tys. żołnierzy rozmieszczonych w 26 centrach pracy i 230 samodzielnych jednostkach.

³³ O stopniowej likwidacji oddziałów wartowniczych na terenie Francji ze względu na redukcję potrzeb informował Dział b. Jeńców Wojennych PMW we Frankfurcie, zaniżając równocześnie liczebność kompanii do 13 tys. ludzi. Por. *Sprawozdanie nr 3/J.W. za wrzesień i październik 1945 z 22 XI 1945 r.*, IPMS, sygn. A XII 90/13. Autor sprawozdania donosił równocześnie, że zwalniani żołnierze odsyłani byli na teren okupacji amerykańskiej w Niemczech.

Okres	liczba likwidowanych jednostek w procentach
do I I 1946	ca 6-7
I I – I III 1946	ca 40-50
ok. I VI 1946	ca 40
czerwiec 1946	reszta ³⁴ .

Zarządzenie to nie miało podtekstów politycznych (choć bez wątpienia Misja warszawska wywierała naciski na zlikwidowanie formacji wartowniczych), ale wynikało przede wszystkim z faktu, że zdecydowanie zmieniła się sytuacja i potrzeby władz amerykańskich. Niektóre obozy jenieckie przeniesiono do Niemiec, a część składów i magazynów została zwinięta po odpłynięciu kilkuset tysięcy żołnierzy amerykańskich do USA i na Daleki Wschód.

Zgodnie ze wspomnianym zarządzeniem dobór ludzi w pierwszym rzucie podlegających zwolnieniu pozostawał całkowicie w gestii dowódców poszczególnych służb i kompanii wartowniczych. W początkach listopada rozpoczął się proces zmniejszania stanów i likwidacji części oddziałów. Wtedy też przestał istnieć obóz kobiecy w Mourmelon (ok. 600 kobiet i dziewcząt). Przyczyną tego było zwinięcie prawie wszystkich szpitali polowych, w których zatrudniano jego mieszkanki. Większość kobiet wyjechała do kraju, a ok. 20% udało się do Niemiec. Jedynie nieliczne, głównie ze względów osobistych, pozostały we Francji. 22 listopada rozwiązano obóz szkoleniowy w Romilly, a znajdujących się w nim oficerów i szeregowych, jeśli nie wyrazili chęci powrotu do kraju, podzielono na grupy po 50-70 ludzi i wysłano do kompanii pracujących w terenie. Generalnie ta pierwsza redukcja objęła prawie wyłącznie szeregowców. Dla wspieranych przez PMW Amerykanów najlepszym rozwiązaniem byłoby repatriowanie wszystkich zwalnianych. Jednak na skutek zabiegów Sekcji Łącznikowej wśród zwalnianych znaleźli się przede wszystkim ci, którzy zadeklarowali chęć powrotu do kraju (ok. 6 tys.) oraz wartownicy mający rodziny we Francji (ok. 4 tys.), a 8 kompanii (ok. 2 tys. ludzi) wysłano na służbę do Niemiec. Odmawiających zgody na repatriację oficerów ze zlikwidowanych jednostek odsyłało do obozów macierzystych, a żołnierzy do obozów cywilnych w Niemczech. Kandydaci na wyjazd do Polski kierowani byli do obozu repatriacyjnego w Eperney, skąd transportami po 1,5 tys. ludzi odsyłało ich do Fürstenwald, w pobliżu granicy z Czechosłowacją, a stąd do kraju. Akcją tą kierował por. USA Paurowski (z pochodzenia Polak, władający językiem polskim) z Oddziału G-1 OIS. Współpracowali z nim trzej oficerowie, z por. Zaleskim na czele, przydzieleni przez Polską (warszawską) Misję Wojskową. W rzeczywistości znaczna część osób przewidzianych do repatriacji pozostała po drodze w Niemczech. Parę tysięcy, jak lakonicznie informowało sprawozdanie płk. Brzeszczyńskiego, „rozbiegło się lub na własną rękę wyjechało do Niemiec”, a około tysiąca skierowano do

³⁴ *Sprawozdanie płk. Brzeszczyńskiego z 26 XI 1945 dla Szefa PWML z sytuacji Polskich Oddziałów Wartowniczych, IPMS, sygn. A XII 47/9.*

cywilnych obozów polskich we Francji. Tylko nieliczni zdecydowali się na podjęcie pracy zarobkowej we Francji. Prowadzona przez władze francuskie akcja werbunkowa nie cieszyła się wśród Polaków zbyt dużą popularnością. Wysuwane oferty nie były bowiem zbyt atrakcyjne (głównie praca w gospodarstwach rolnych z niskim wynagrodzeniem) i na przyjęcie ich, według powszechnej opinii, „zawsze był czas”. 15 listopada 1945 r. redukowaniu jednostek i repatriację przerwano, prawdopodobnie ze względu na trudności komunikacyjne, a wznowienie akcji zapowiedziano na koniec lutego lub początek marca 1946 r.³⁵

W rezultacie projektowana całkowita likwidacja oddziałów nie nastąpiła, chociaż ich stany osobowe uległy wyraźnej redukcji. Pod koniec listopada 1945 r. służyło w nich ok. 320 oficerów oraz 12-14 tys. podoficerów i szeregowców, skupionych w ok. 150 jednostkach. Bardzo szybko okazało się jednak, że taka liczba ludzi nie jest w stanie poradzić sobie z wszystkimi zadaniami stawianymi przez Amerykanów, którzy w związku z tym ponownie rozpoczęli rekrutację. Do nowo organizowanych kompanii zgłaszali się przede wszystkim dawni wartownicy z terenu Francji. W początkach stycznia znajdowało się w nich ok. 430 oficerów i ok. 20 tys. szeregowców. Ten ponowny rozrost jednostek wartowniczych wiązał się w znacznej mierze z faktem, że ich służbę rozciągnięto także na Belgię. Baza rekrutacyjna zmniejszyła się jednak wyraźnie zarówno ze względu na postępującą repatriację, jak i tworzenie licznych kompanii w Niemczech. Płk Brzeszczyński zdecydował się wówczas na sięgnięcie, w porozumieniu z szefem Polskiej Wojskowej Misji Likwidacyjnej we Francji (PWML)³⁶, do zasobów obozów wojskowych w Lille i La Courtine, w których przebywało w dalszym ciągu kilka tysięcy żołnierzy. Do sierpnia 1946 r. stany osobowe kompanii utrzymywały się na poziomie ok. 23 tys. żołnierzy i oficerów. Warunki służby zaczęły się jednak wyraźnie pogarszać. Głównym powodem tego było zaostrenie stosunku władz okupacyjnych do dipi-sów, mające zmusić ich do szybszej repatriacji. Siłą rzeczy odbijało się to także na służbie wartowniczej. Dodatkowym czynnikiem wpływającym na pogorszenie stosunków z władzami amerykańskimi była niesumienność pracowników niektórych oddziałów, a zwłaszcza ujawniane kradzieże i udowodnione powiązania wartowników z czarnym rynkiem. Niemniej jednak warunki zakwaterowania i bytowania oraz wyżywienie nie były bardzo złe. Płace utrzymały się także na podobnym poziomie jak w 1945 r., a nominalnie nawet wzrosły do 5-6 tys. franków miesięcznie. Niezadowolone budziły natomiast posunięcia zmierzające do odebrania wartownikom przydziału tytoniu i słodyczy. Pogorszyło się też, od momentu wprowadzenia granatowych sortów, umundurowanie. Płk S. Brzeszczyński uważał, że r. 1946

³⁵ Ibidem; *Sprawozdanie z sytuacji s[łużby] wartowniczej za rok 1946...*, op. cit.; *Komunikat Informacyjny nr 6 Sztabu Głównego z 15 XI 1945*, IPMS, sygn. A XII 30/40.

³⁶ Polska Misja Wojskowa do Spraw Zaciągu i Ewakuacji po cofnięciu uznania dla rządu na emigracji przemianowana została 28 VIII 1945 r. na Polską Wojskową Misję Likwidacyjną we Francji. Kierował nią w dalszym ciągu płk dypl. A. Szymański.

„stał pod znakiem walki o umundurowanie khaki i papierosy”. Na tym tle dochodziło niejednokrotnie do buntów, co przyspieszało likwidację wielu jednostek. Nastroje wśród wartowników zdecydowanie się pogarszały. Ogłoszona w październiku 1945 r. zapowiedź likwidacji oddziałów uzmysłowiła większości zatrudnionych, że wykonywana praca nie ma charakteru stałego i w każdej chwili można ją utracić bez perspektyw znalezienia następnej. Oficer łącznikowy w sprawozdaniu za r. 1946 zapisał: „Morale większości oddziałów psuło się z każdym miesiącem, mimo wytężonych wysiłków tak ze strony P[olskiej] S[ekcji] Ł[ącznikowej], jak i władz amer[ykańskich], by temu złu zapobiec. Główną przyczyną tego stanu rzeczy była psychoza »a co jutro« i w związku z tym bezwzględny pęd do zabezpieczenia sobie tego jutra wszelkimi sposobami. Duży ujemny wpływ na morale oddz.[iałów] wart.[owniczych] mieli amer.[ykańscy] żołnierze, którzy okradali swoje składy w nieprzyzwoity sposób i nagminnie trudnili się czarnym rynkiem”³⁷. Lęk „o jutro” był w pełni uzasadniony, gdyż w lipcu 1946 r. zaczęła się kolejna, i tym razem już ostateczna, likwidacja oddziałów wartowniczych. Wynikało to z faktu, że większość jeńców wojennych została zwolniona, a swe magazyny i składy Amerykanie przekazywali Francuzom i Belgom. W pierwszej kolejności zostali odesłani żołnierze z Lille i La Courtine (ok. 2,8 tys.), sprawiający zresztą Amerykanom najwięcej kłopotów, w następnej wartownicy rekrutujący się ze starej, to jest przedwojennej emigracji, którzy najłatwiej mogli znaleźć oparcie we własnych rodzinach. Kolejny rzut stanowiły osoby pragnące wrócić do Polski (ok. 28%) lub wyjechać do Niemiec (12%), aby tam zaciągnąć się do służby wartowniczej. Na końcu odeszli ci, którzy wyrazili chęć pozostania we Francji i Belgii (24%) lub powrotu do obozów DP z nadzieją na wyjazd za ocean (13%). W wyniku starań PSŁ, przy wybitnej pomocy Amerykanów, udało się osiedlić we Francji i Belgii ok. 5 tys. byłych wartowników, którzy podjęli pracę w kopalniach, zakładach przemysłowych lub na roli. Wg danych z 1 stycznia 1947 r. w służbie wartowniczej znajdowało się jeszcze ok. 2,5 tys. oficerów, podoficerów i szeregowców³⁸. Brak jest niestety informacji o ich dalszych

³⁷ *Sprawozdanie z sytuacji s[łużby] wartowniczej za rok 1946...*, op. cit.; Podobnie oceniał sytuację już jesienią 1945 r. szef PWML, który w swym raporcie pisał m.in.: „Stan moralny naszych żołnierzy, pełniących służbę wartowniczą, doznał niestety poważnego załamania. Wartownicy nasi, początkowo sumienni, przyjęli od poprzedników swoich amerykańskich i francuskich system okradania składów amerykańskich. Rozwydrzenie to przybrało niepokojące rozmiary, a skutkiem braku uprawnień dyscyplinarno-karnych płk. Brzeszczyńskiego oraz swawoli wartowników innych narodowości, jest trudne do opanowania. Redukcja stanów o prawie 1/3, groźby odesłania do obozów w Niemczech, są tamującym czynnikiem w pogłębianiu się tego kryzysu zaufania u Amerykanów dla naszych wartowników. Skierowanie przez Misję do płk. Brzeszczyńskiego materiału propagandowego oraz kilkunastu księży wpłynęło dodatnio na stan moralny naszych wartowników”. *Raport sytuacyjny PWML z 15 X 45 r.*, IPMS, SYGN. A XII 47/9.

³⁸ *Sprawozdanie z sytuacji s[łużby] wartowniczej za rok 1946...*, op. cit.; Wg informacji Sztabu Głównego Naczelnego Wodza od lipca do 20 XI 1946 r. zostało repatriowanych 127

losach, wiadomo jedynie, że pod koniec 1947 r. oddziały te już właściwie nie istniały.

oficerów i 2 876 szeregowych. Wyjazdy do Polski trwały także. W tym samym czasie ok. 854 wartowników przeniesiono do pełnienia służby wartowniczej na terenie strefy amerykańskiej w Niemczech. 4,1 tys. wartowników znalazło zatrudnienie we Francji i Belgii, a ok. 2,8 tys. wartowników powróciło do obozów w Lille i La Courtine. W służbie amerykańskiej we Francji 1 XII 46 pozostawało: 106 oficerów i 2,6 tys. szeregowych wartowników. *Komunikat Informacyjny nr 30 Sztabu Głównego z 16 XII 1946 r.*, IPMS, sygn. A XII 30/40.